Rok XII^ty. Nr. 30.

Szkółka niedzielna

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela szósta po Zielonych Świątkach,* dnia 23. Lipca 1848.

Religia.

O modlitwie.

Dobra modlitwa nie jest czém inném, jak tylko miłością Bożą. Zbyteczném jest wielu słowami przemawiać do Boga, albowiem bez dźwięku słów zna on głębią naszego uczucia. Modlitwa serca jest tylko prawdziwą, a serce tylko przez życzenia prośby wynurzać umie. Modlić się, jest więc życzyć, bo ktokolwiek z głębi serca nie pożąda, obłudną składa modlitwę. Aczkolwiekby całe dnie na odmawianiu pacierzy, na rozmyślaniu lub strzelistych afektach przepędzał, nie modli się prawdziwie, jeżli nie życzy tego, o co prosi. Oh! jak mało osób się modli! bo jakżeż mała ich liczba prawdziwych dóbr pożąda. Temi zaś dobrami są wewnętrzne i zewnętrzne krzyże, upokorzenia, wyrzeczenie się własnéj woli, obumrzenie sobie, królowanie Boże nad skromną miłością własną; a nie żądać tych rzeczy, nie jest to się modlić. Modlitwa wymaga, abyśmy je żądali szczerze, skutecznie, wiernie, i we wszystkich szczegółach naszego życia; inaczéj modląc się, bylibyśmy ofiarą podobnego złudzenia, jak ów nieszczęśliwy, który we śnie raduje się dalekiém od niego szczęściem. Niestety! ileż to dusz zajętych sobą i urojoném dążeniem ku doskonałości, nigdy się tą prawdziwą modlitwą serca nie modliło! Z tego powodu S^ty Augustyn mawiał: Kto mało kocha, mało się modli; kto wiele kocha, wiele się modli. Co więcéj, nigdy nie przestaje się modlić, kto ciągle pała prawdziwą miłością i prawdziwém pożądaniem serca. Miłość ukryta w głębi serca, modli się bez przestanku, lubo umysł nie może być zawsze w czynnéj uwadze. Pan Bóg przypatruje się ciągle w duszy życzeniom, które sam w niéj tworzy, niekiedy nawet bez jéj własnéj wiedzy; ten zaród woli rozczula serce Boże; jest to głos tajemny, który ściąga jego miłosierdzie; jest to ów duch, który według Pawła św. wzdycha w nas niewymownemi jęki i wspiera naszą słabość; ta miłość wyprasza u Boga to, czego nam nie dostaje, a zwłaszcza pobłażanie dla naszéj niedołężności, przez wzgląd na szczerość przedsięwzięcia; ta miłość zaciera w nas nawet grzechy powszednie, i oczyszcza

nas jako ogień gorejący, prosi w nas i dla nas o rzeczy, które są według Boga. My bowiem nie wiedząc, o co się modlić, prosilibyśmy często o łaski szkodliwe, jako to, o pewną żarliwość, widoczne zasmakowanie i powierzchowne doskonałości, któreby w nas tylko podsycały życie przyrodzone i zaufanie w własnych siłach. Owa miłość zaś, oddając nas ślepo wszystkim działaniom łaski, wyzuwając nas z siebie samych w ręku Boga, przysposobia nas do skrytych widoków Najwyższego. Chcemy wszystko, a niczego nie chcemy. To, co Pan Bóg nam dać raczy, będzie właśnie życzeniem naszém, chcemy albowiem wszystko, co on chce, i niechcemy tylko to, co on chce. Taki stan jest doskonałą modlitwą. Jest to przygotowanie serca, które wszelkie żądania w sobie zawiera. Duch żąda w nas właśnie to samo, co nam duch chce udzielić, i wtedy nawet, gdy zatrudnienia odrywają nas na zewnątrz i sprowadzają nieuchronne roztargnienie, nosimy ciągle w sercu ogień nie zagaszony, który podsyca cichą modlitwę, co jak lampa gorejąca pali się bez przestanku przed tronem Najwyższego. Aczkolwiek śpiemy, serce nasze czuwa, a błogosławiony, kogo Bóg czuwającym zastanie. Żeby zachować tego ducha modlitwy, który nas łączy z Bogiem, trzeba przestrzegać dwóch głównych rzeczy: po 1^{wsze}, podsycać go, po 2^{gie}, unikać wszystkiego, coby nas tak drogiego daru pozbawić mogło.

Podsycać go zaś może: 1^{wsze}, pobożne czytanie; 2^{gie}, modlitwa ustna w pewnych godzinach; 3^{cie}, uczęszczanie do sakramentów; 4te, rekolekcye, gdy sami ich potrzebę czujemy, lub też ludzie światli nam je doradzają; 5te nakoniec, częste oderwanie w ciągu dnia od rzeczy zewnętrznych. Powinniśmy się lękać i pilnie wystrzegać wszystkiego, coby w nas zagubić mogło ducha modlitwy. Trzeba zatém unikać światowych towarzystw, które zbytne roztargnienie sprawują. 2^{gie}, uciech, które namiętności poruszają. 3^{cie}, wszystkiego, co w nas obudza zamiłowanie świata, i dawne a szkodliwe nałogi.

Te dwie ostatnie uwagi ściągają się do niezliczonych przedmiotów, i trudno je ogółem wyliczyć, albowiem każda osoba ma swoje właściwe potrzeby.

1. Dla podsycenia ducha modlitwy, trzeba obierać czytanie, któreby nas oświeciło co do powinności i wad naszych; któreby wskazując nam wielkość Boga, nauczyło nas, ile mu winni, a jak bardzo niewierni jesteśmy; nie chodzi tu bowiem o próżne czytanie, gdzieby serce nasze wynurzało się i rozrzewniało, jakby nad czułém widowiskiem; drzewo musi rodzić owoce, i przez płodność tylko sądzić można o zdrowiu korzenia. Kto prawdziwie kocha, będzie dowiadywał się naprzód, aby zadowolnić ukochanego; kto inaczéj postępuje, kocha siebie samego pod pozorem miłości Bożéj; szuka w nim próżnéj i omylnéj pociechy; używa Boga dla własnych widoków, a nie siebie dla niego poświęca. Broń Boże, aby dzieci jego tak go kochać miały. Trzeba przyjąć i wypełniać bez wyjątku, cokolwiek od nas zażąda, bądź co bądź.

2. Modlitwa zależy od czasu usposobienia i skłonności osoby.

Rozmyślanie nie jest modlitwą, ale jéj niezbędną podstawą. O tyle tylko możemy się zbliżyć do Boga prawdy

przedwiecznéj, o ile się przejmiemy prawdami, które nam objawił. Nie dość za ém, znać dokładnie tajemnice Jezusa Chrystusa, i prawdy jego ewangelii, trzeba jeszcze wiedzieć, co w nas działać mają; trzeba, aby nas długo przenikały, jak farba przenika powoli wełnę, któréj inny kolor nadać chcemy. Musimy spoufalić się z temi prawdami, ażeby przypatrując się im z bliska i codziennie, przyuczyli się wszystko przez nie sądzić, i obrali je sobie za jedynego sternika i światło w działaniu; podobnie, jak promienie słońca, są jedynym pośrednikiem do poznawania kształtu ciał i ich kolorów. Wtedy dopiero, kiedy te prawdy wcielą się w nas niejako, modlitwa nasza zacznie być prawdziwą i płodną, aż dotąd była tylko cieniem.

Łudziliśmy się znajomością prawdy, a tylko jéj zewnętrznéj kory dotykali. Wszystkie uczucia, aczkolwiek żywe i czułe, najsilniejsze postanowienia, pojęcia jasne i dokładne, są tylko podłym i nieforemnym zarodem tego, co w nas Bóg kształci; ale skoro ta jasność zacznie nam przyświecać, oglądamy prawdziwe światło Boże; i każdą prawdę przyjmujemy bez namysłu, podobnie jak nie potrzeba nam rozumowań do poznania blasku słońca, skoro się wzniesie i uderzy nasze oczy. Połączenie nasze z Bogiem w modlitwie, powinno się zatém zasadzać na dokładném poznaniu prawd ewangelii; nie można bowiem sądzić o stopniu miłości naszéj ku Bogu, jak tylko przez wierność w wypełnianiu jego woli; trzeba nadto, aby to rozmyślanie codzień głębszém i ściślejszém się stawało; mówię głębszém, albowiem rozmyślając pokornie tę prawdę, coraz nowe w niéj odkrywamy skarby; mówię jeszcze ścisłém, albowiem w miarę jak przenikamy te prawdy, one także przenikają do duszy naszéj, a wtedy jedno proste słowo daléj trafia, jak długie rozprawy; te same rzeczy, któreśmy już jakie sto razy obojętnie i bez owocu słuchali, żywią po kilka dni duszę jako manna doskonała i ukryta; co więcéj, nie trzeba opuszczać prawd, które nam do serca trafiły, póki jeszcze sok w sobie mają; póki jeszcze pożywienie udzielić nam mogą; jest to znak pewien, że ich potrzebujemy. Częstokroć nawet żywią nas bez wyraźnéj nauki; jest to coś, które więcéj działa, jak wszystkie dowodzenia, postrzega się prawdę, pokocha ją, spoczywa w niéj, a ona wzmacnia serce, i oswobadza go z więzów własnéj woli; trzeba w tym stanie zostawać w pokoju, póki można.

Rozmaitości.

Tęsknota do miłéj Ojczyzny.

(*Z Szkoły Ludu.*)

W r. 1796, gdy legiony polskie stały we Włoszech, podczas krótkiego zawieszenia broni, każdy żołnierz szukał wytchnienia po trudach wojennych. Pewnego dnia Pułkownik Junge, Polak, chociaż nosił niemieckie nazwisko, przechadzał się w czasie cichego wieczora w pięknych okolicach Rzymu, pośród drzew oliwnych, pomarańczowych i innych, obładowanych owocami i miły wydających zapach. Naraz spostrzega żołnierza polskiego, piechura, używającego wywczasu, rozciągniętego na trawniku, przypatrującego się górom, dolinom i lekko wiatrem wieczornym rozkołysanym

drzewom, lecz zalanego łzami. Zdziwiony Pułkownik zbliża się ku niemu, i zapytuje go, co mu jest? czy chory? lub czy mu czego brakuje. Żołnierz na widok swojego Pułkownika zrywa się, staje i odpowiada: „Eh! nic, Panie Pułkowniku!“ Wszelako Junge jeszcze raz powtarza swoje zapytanie, na które żołnierz polski odpowiada: „Eh! bo to Panie Pułkowniku, tu jakoś przypatrując się tym tu górom, dolinom, tym drzewom, tu leżąc na ziemi, przypomniał mi się mój kraj; jakto w wiosce mojéj rodzinnéj człowiek legał na naszych murawach, chodząc za bydłem; przypomniał mi się ojciec, matka, krewni; i tak jakoś około serca mi się zakręciło, że aż mi się łza z oka wyrwała.“ Słuchającemu go Pułkownikowi na wspomnienie kraju rodzinnego, także się około serca zakręciło, i łza w oku pokazała; znikła różnica stopni, ziomek rzucił się w objęcie ziomka, a we wzajemném uściśnieniu szukali ulgi w smutku i tęsknocie po miléj Ojczyźnie.

Wieśniaczka daje piękny przykład miłości ziemi ojczystéj.

(Z *Szkoły Ludu.*)

Piękny przykład miłości Ojczyzny dała nam jedna wieśniaczka, niedaleko Częstochowy żyjąca. Lubo ani jéj imienia i nazwiska, ani téż miejsca zamieszkania oznaczyć wam nie mogę, jednakże to, co o niéj opowiem, jest rzetelną prawdą; bo słyszałem to z ust podeszłego Niemca, który, jako cudzoziemiec, łatwo zapomniał obce dla siebie imiona, ale postępek wieśniaczki z uwielbieniem często opowiadał.

Już temu przeszło lat czterdzieści, jak Pan Rappard, urzędnik pruski, dzierzawił niedaleko Częstochowy wieś narodową. W téj wiosce żyła uboga wdowa, matka kilkorga dzieci. Pan Rappard jużto ze względu na niedolę osierociałéj kobiety, jużto upatrując w tém dla siebie dogodność, z kilkorga jéj sierót wybrał najstarszego, około dwunastu lat liczącego synka, i tego do domowéj obrócił posługi. Po niejakim czasie Pan Rappard, jako urzędnik pruski, z okolic, w których mieszkał, powołany został do Berlina. Opuszczając strony polskie, postanowił zabrać z sobą chłopczynę, który przez swoję zwinność w usłudze i roztropności, wielce mu się podobał. Gdy już wszystko było do wyjazdu gotowe i Pan zasiadł w powozie, na którego koźle ów chłopczyna był umieszczony, matka sieroty, zalana łzami, przybliża się do odjeżdżającego Pana, a poleciwszy jego opiece niedorosłego synka, z największém rozrzewnieniem uprasza, by związaną grubą szmatę, którą w ręku trzymała, od niéj odebrał i dla rozstającego się z nią syna starannie zachował. Naleganiem rzewnie płaczącéj matki zdziwiony Pan Rappard, pyta się, coby miała w téj lichéj szmacie, którą mu w ręce wtykała i szczególnemu polecała staraniu. Wtedy nieszczęśliwa wdowa, któréj o mało serce od żalu nie pękło, ze łkaniem odpowiada: „Panie! jestem uboga, i bardzo uboga, a do tego wdowa, kilkorgiem dzieci obarczona. Nic nie mam, cobym mogła dać na pamiątkę synowi, którego Pan z sobą zabierasz, a którego ja nigdy zapewne już więcéj nie ujrzę. W téj tu szmacie jest garść ziemi, na któréj się urodził. Chciéj ją Pan dla niego starannie zachować, a jak do rozumu przyjdzie, oddaj mu ją i oświadcz w imieniu mojém, że bardzo biédna i nieszczęśliwa matka, tę tylko zostawiłam mu puściznę, z zaleceniem pod macierzystém błogosławieństwem, żeby był zawsze poczciwym i nadewszystko kochał ziemię, na któréj się urodził.“ Gdy te słowa skończyła, Pan Rappard chcąc skrócić tak rozrzewniające rozstanie się, kazał zaciąć konie, powóz szybko ruszył, a biédna matka długo, długo, łzawém okiem ścigała jadących, dopóki jéj z oczu nie znikli.

Nakładem i drukiem *Ernesta Günthera* w Lesznie. — (Redaktor: X. *T. Borowicz.*)